

TYMON Z ATEN.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

W. Szekspira.

(Dokończenie).

AKT IV.

SCENA I.

W polu.

Tymon.

Niech was raz ujrzę jeszcze mury, za którymi wilki żarłoczne; — zapadnijcie się pod ziemię, nie chroniąc więcej Aten! Kobiety, bądźcie rozpustnemi, dzieci—nie słuchajcie rodziców! Niewolnicy i błażni, porwijecie z siedzeń senatorów poważnych, i na ich miejscu sądzicie! Dziewice, zanurzcie się w kale zepsucia! Bankruci nie oddajcie pieniędzy, i rzućcie się z nożem do gardel tych, co wam je pożyczycy! Rabujcie słuźalcy, wasi panowie to długoramienni zbójce, uprawnieni złoczyńcy! Dziewko zasun się kotarę twego pana, wszak pani z kochankiem! (1). Szesnastoletni wyrostku, wydrzyj kule ojcu kalące, i rozbij mu nimi czaszkę. Pobożność, bogobojność, religia, sprawiedliwość, dobra wiara, szacunek, spokój nocny, przyjaźń, wychowanie, obyczaj, przemysł, zwyczaj i prawa, niech się zamienią w przeciwnieństwa, i pędzą was w zniszczenie! — Zarazo, klęsko ludzi, wzbierz nad Atenami w śmiertelne gorączki, one dojrzały dla twych ciosów! Paraliżu, zegnij senatorów, iżby ich pokrzywione członki, podobne się stały obyczajom! Rozpusto i bezczelność, wśliźnij się w szpik i umysły młodzieży, iżby płynąc przeciw nocie, zagrzeźli w zgniliźnie! Niechaj Ateny zasiane będą wrzodami i wiecznym trądem, niechaj oddech zaraża oddech, iżby samo zbliżenie tak jak i przyjaźń, jadem truło śmiertelnym!

(1) W domu rozpusty.

Przekłete miasto, prócz tój nagości nic od ciebie nie biorę, i tę mi wydrzyj, mnożąc przekleństwa! W bory idzie Tymon, gdzie dzikie bestye więcej mu okażą miłości od ludzi. A wy, bogi wszystkie, spalcie piorunem Ateny całe, miasto i sioła; i niechaj w Tymonie, w miarę lat postępu, rośnie nienawiść do całego ludzkiego plemienia! Amen! (*odchodzi*).

SCENA II.

W domu Tymona.

(FLAWIUSZ z kilkoma jego sługami).

Pierwszy sługa.

Mów, panie rządco, gdzie pan nasz? Zgubieni więc jesteśmy, odpędzeni, nie zostało nic?

Flawiusz.

Ach towarzysze, cóż wam powiedzieć mogę? — Świadczę się sprawiedliwymi bogami, żeś tak ubogi jak wy.

Pierwszy sługa.

Taki dom runął! Ani jednego przyjaciela, któryby jął za ręce los jego, i ulżył mu!

Drugi sługa.

Tak jak odwracamy się od towarzysza pochłoniętego w grobie, tak przyjaciele jego, widząc pochłoniętą fortunę, uciekli precz, rzucając przed niego zwodnicze przysięgi, niby worki puste; a nieszczęsny, popadły w żebractwo, powietrze mając jedynym dobrem, w ubóstwie, od którego każdy jak od choroby ucieka, idzie ku hańbie, samotny. (*Wchodzą nowi słudzy Tymona*). Jeszcze kilku towarzyszy.

Flawiusz.

A wszyscy, niby zgruchotane naczynia zburzonego domu!

Trzeci sługa.

Lecz serca nasze noszą jeszcze barwę Tymona, czytam to na twarzach. Jeszcześmy wszyscy towarzyszami jednej niedoli. Rozbiło się nam czołno, a my biedni marynarze, stoimy na pokładzie nadśłuchując szumu fali; — lecz rozłączyć się nam trzeba, i rozproszyć po szerokim oceanie powietrza.

Flawiusz.

Przyjaciele! Podzielę z wami resztę mojej chudoby. I gdziekolwiek się znów zobaczymy, pozostanmy przez miłość dla Ty-

moną przyjaciółmi! Potrząśnijmy głową, i powiedzmy na pożegnanie grobowe szczęściu naszego pana: „Znaliśmy lepsze czasy.”—Wyciągnijcie ręce i niechaj każdy cząstkę weźmie! (*daje im złoto*). Odchodźmy ubodzy, lecz w zgryzotę bogaci. (*Rozchodzą się śludzy*). O w jaką straszliwą nędzę, spycha nas blask świetny! Któż pożąda jeszcze przepychu fortuny, gdy w jej ślad pędzi ubóstwo i sromota? Kogóż blask jeszcze tak omamić zdoła, kogo czeze mary przyjaźni? Kto zapragnie wielkości i potęgi, gdy te tak jak przyjaciele, tylko malowane? Zacny ty mój panie zubożały przez dobroć serca, przez własną zduszony tklivość! Szczególny to charakter, którego największym była grzechem miłość zbyt wielka! Któż teraz odważy się w połowie tak być szczodrym, gdy szczodrość, która Boga Bogiem czyni, człowieka zgnębia! O drogi panie! uwielbiany niegdyś aby dziś być przeklinanym, bogaty na to, aby być nędzarzem! twe wielkie skarby, stały się dziś najsroźszem twém cierpieniem! Niestety! dobry pan w zapalczwym gniewie porzucił miasto niewdzięczne, jaskinię fałszywych przyjaciół, i nic nie wziął z sobą dla utrzymania lub ulżenia życia. Pójdę go wynaleźć! posłużę mu dopóki sił moich, a dopóki *ja* mam złoto, rządzcą jego będę. (*Odchodzi*).

SCENA III.

Las.

(TYMON wchodzi).

Tymon.

O błogosławione słońce odrodzenia, wysącz z głębi ziemi wilgoć zaraźliwą, i zatruj powietrze w siostrzanym kręgu księżyca! Wziąć dwóch braci, bliźniąt z jednego łona, których spłodzenie, mieszkanie i urodzenie jednoczesne były, a tylko szczęście różne, zaraz większy wyszydza mniejszego. Natura obarczona tyloma cierpieniami, zniesie wielkie szczęście wtedy tylko, gdy naturą wzgardzi. Podnieś żebraka, a strąć możnego: mój, znemu, pogarda stanie się dziedzictwem, tak jak żebrakowi cześć. Karmienie nadyma bogatszego brata, niedostatek go wycieńcza. Kto ośmielił się powstać z czystej ludzkości i zawołać: „Człowiek ten pochlebca jest!”, kto? jeżeli nim jest jeden, to są nimi wszyscy; gdyż pod każdy wyższy szczebel szczęścia, wplata się niższy. Uczona głowa nurza się przed głupią, ostonioną złotem. Wszystko jest skrzywione. Nic w naszej przeklętej naturze prostego, chyba prosta ścięzka przewrotności. Dlatego bądźcie przeklęte uczyły wszystkie, towarzysztwa, tłumy ludzi, bo Tymon nienawidzi sobie równych, nienawidzi samego siebie. Zniszczenie ludzkiemu plemieniu! (*Kopie w ziemi*). Ziemi! żyw mnie korzeniami. Kto

więcej w tobie szuka, temu spal podniebienie najostrzejszą trucizną! Co widzę? (*uderza o sztabę złota*) Złoto? błyszczące, czerwone złoto? Nie, bogowie, jam nie słuźalec mamony; korzeni, czyste nieba! Ta garstka złota, wystarczy na przemianę czarnego w białe, brzydkiego w piękne, złego w dobre, starego w młode, lekkiego w waleczne, podłego w szlachetne. Wy bogowie! na co mnie to? na co, bogowie? Ha! to złoto odwiedzie wam kapłana od ołtarza, odedrze napół zdrowego od miękkich poduszek. Tak, ten czerwony niewolnik, rozwiąze i ścięśni najświętsze związki, uzacni przekłętego, trąd umili, uczci złodzieja, otoczy go dostojenstwem i wpływem w radzie senatorów, zegnien przed nim kolana. Onto napędzi przeżyłej wdowie kochanków, a pokrytą trującymi ranami, ze wstrętem wypchniętą z szpitala, odmłodzi balsamicznie majową młodością. Przekłęta ziemio, nizeczemna nałożnico ludzi, ty która niesnaski rozrzucasz w gromadę ludów, dla mnie pozostań tém, czém jesteś. (*Słychać granego marsza*). Odgłos trąby! — Żywem jesteś, złoto, lecz ja cię pogrzebię; o będziesz biegać jeszcze, ty silny morderco, gdy twój pedogryczny stróż, stać nie będzie mógł. Lecz na zadatek zostawie tę trochę. (*Zostawia przy sobie trochę złota, resztę zakopuje*). Wchodzi *Alcybiades* z trębami i fanfarą w pochodzie wojennym. *Prynthia* i *Timandra*).

Alcybiades.

Kto jesteś, mów!

Tymon.

Zwierzę jak i ty. Niech ci trucizna rozeźre serce za to, że mi znów ludzką ukazujesz twarz.

Alcybiades.

Kto jesteś? I czy tak nienawidzisz człowieka, ty który człowiekiem jesteś?

Tymon.

Mizantropem jestem. i nienawidzę ludzkosci. Chciałbym przez wzgląd na ciebie abyś psem był, a wtedy lubiłbym cię trochę.

Alcybiades.

Znam cię, lecz nieznanie i obce mi twe losy.

Tymon.

Ciebie także znam, i więcej nie chciałbym wiedzieć jak tylko: że cię znam. Idź za twoją surmą wojenną, pomaluj ziemie ludzką kwią, na czerwono, czerwono. Boskie przykazania, ludzkie prawa okrutne są, czemu więc ma być wojna? Oto ta nałożnica twoja, mimo jój oczu cherubina, pewnie zniszczyć może, aniżeli twój miecz.

Frynia.

Bodaj ci wargi zgniły!

Tymon.

Wszak całować cię nie chcę, więc niech zgnilizna do ciebie wróci.

Aleybiades.

Jakimże sposobem, tak się zmienił szlachetny Tymon?

Tymon.

Takim jak księżyc, gdy mu światła zabraknie; lecz nie mogłem tak jak księżyc, jasności odnowić. Mnie nie pożyczyciło żadne słońce.

Aleybiades.

Czy Tymonie, mogę ci przyjacielską wyświadczyć usługę?

Tymon.

Jedną tylko: wzmocnij moją wiarę.

Aleybiades.

Jaką Tymonie?

Tymon.

Przyrzecz mi przyjaźń, ale nie dotrzymaj wcale. Jeżeli mi nie chcesz przyrzec, niech cię bogowie ukarzą, bo jesteś człowiekiem, a jeżeli dotrzymasz obietnicy, zniszczą cię nieba, boś jest człowiekiem!

Aleybiades.

Słyszałem już coś o twojej nędzy.

Tymon.

Widziałeś ją wtedy, gdy mi się szczęście uśmiechało.

Aleybiades.

Widzę ją teraz—pora wtedy była rozkoszy.

Tymon.

Tak jak teraz twoja, spędzana z dwiema kochankami.

Tymandra.

I tenże to ma być ozdobą Aten, o którym świat tak mówi sławnie i pięknie?

Tymon.

Czyś ty Tymandra?

Tymandra.

Tak.

Tymon.

Pozostań nazawsze kochanicą. Ciebie nie kocha ten, co cię zna. Niewolników twych połam we czworo, kwitnącego młodzieńca przygotuj do głodowych leków.

Tymandra.

Na szubienicę z potworem!

Aleybiades.

Przebacz mu droga Tymandro, bo rozum jego przepadł, zatopiony w nieszczęściach. — Niewiele złota mam, dzielny Tymonie, brak jego, pobudza biednych mych żołnierzy do codziennego buntu. Dowiedziałem się z boleścią, że przekłete Ateny zapomniały o twych zasługach i zwyciężkim mieczu, który je uratował wówczas, gdy sąsiednie państwo, zgnieść je chciało.

Tymon.

Proszę cię, uderz w bęben i odejdz.

Aleybiades.

Twoim przyjacielem jestem, i żal mi cię Tymonie.

Tymon.

Jak możesz żałować tego, którego dręczysz? Chciałbym zostać sam.

Aleybiades.

Więc bywaj zdrów, i weź to złoto.

Tymon.

Zatrzymaj sobie, ja go jeść nie będę.

Aleybiades.

Gdy już Ateny pyszne zburzę...

Tymon.

Wojujesz Ateny?

Aleybiades.

Tak Tymonie, i sprawiedliwie.

Tymon.

Oby bogowie przez ciebie wydusili wszystkich, a gdyś wydusił wszystkich, ciebie potem.

Aleybiades.

Mnie Tymonie?

Tymon.

Bo mordując Iotrów, przychodzisz zdobyć ojczyznę moją. Schowaj twe pieniądze — odejdz, tu jest złoto — odejdz! Bądź na podobieństwo zaraźliwej planety, gdy Jowisz na zbrodnicze miasta, truciznę rozruca. Niech miecz twój nie oszczędzi nikogo! Ani czeigodnego starca dla siwych jego włosów: to lichwiarz! — Ani matrony, dla szat jej tylko skromnych: to obłudna żona! Niech nie złagodzi ostrza twego miecza, dziewicy oblicze, bo piersi jej, poprzez przezrocza czarujące oczy mężczyzn, nie są zapisane w litości księdze. Nie! — na wskroś w nich ohydna zdrada! Ani nie oszczędź dzieciaka, którego śliczne ust dolećki głupców wzruszyć mogą; pomyśl że to bękart, przeznaczony ci tajemniczym słowem wyroczni: na mordercę. Rozsiec go bez litości, przysięgnij śmierć życiu, zamknij oczy i uszy miedzianym pancerzem tak szczelnie, iżbyś za nic miał krzyk matek, dziewic, dzieci, a nawet kapłanów, broczących w szatach świętych. Tu masz pieniądze dla walecznych — szérz w okół zniszczenie, a gdy wściekłość ugasisz, przepadnij ty sam! Nie mów więcej, i odejdz.

Alecybiades.

Skoro masz złoto, wezmę je, ale nie wezmę wszystkich rad twoich.

Tymon.

Uśłuchasz mnie lub nie — przekleństwo niebios, niech ciąży nad tobą!

Frynią i Tymandra.

Daj nam złota dobry Tymonie — wszak masz jeszcze?

Tymon.

Mam go tyle, iżby wam zbrzydzić wasze zatrudnienie. Nędznice, roztwórzcie ranłuchy! Nie waszą to rzeczą przysięgać, choć wiem, iżbyście przysięgły tak straszliwie, że nieśmiertelni bogowie słysząc to, zadrzeliby z przerażenia! Nie, nie przysięgajcie, wołę zaufać skłonnościom waszym. A więc: pozostańcie bezwstydnemi zawsze! A temu, któryby was nawrócić chciał pobożnym słowem, stawcie się dzielnie, skusicie go i spalcie ogniem waszym, potężniejszym od dymu jego rozpraw. Nie cofajcie się napróżno, choćbyście na to sześć miesięcy strawiły. A głowy łyse wasze, pokryjcie tém co nosili zmarli i wisieły. Cóż to szkodzi? Noście to, oszukajcie dalej, i żyjcie bezwstydnie dalej. Gładźcie zmarszczki i malujcie twarze wasze...

Frynią i Tymandra.

Dobrze, tylko więcej złota. co jeszcze? Wierzaj nam, za pieniądze sprawimy to, czego żadasz.

Tymon.

Zasięćcie wycieńczenie w szpiku ludzi, wykrzywcie im nogi, złamcie jeźdźca siłę, przytłumcie adwokata głos, aby już fałszywych spraw, nie wykrzykiwał chrapliwie. Trądem pokryjcie kapłana, który gromiąc zniształ pokusę, sam w sobie nie wierzy; odbierzcie węch temu, który publiczne dobro wyzyskuje dla siebie. Niech niepokryty ranami junak, przez was pocięrze. Zatrucicie wszystko, przyduście i wysuszcicie wszelkie życiodajne źródła! — Coraz więcej złota! — Gubcie innych, a potem niech to złoto was zaprzępaści i zgubi, i niech was wszystkich jeden dół zagrzebie!

Frynia i Tymandra.

Więcej rad i więcej jeszcze złota daj, wspaniały Tymonie!

Tymon.

Więcej hańby, i więcej zniszczenia przedewszystkiē! Zaczniēcie, jam dał zadatek.

Alcibiades.

Zagrzmijcie w surmy — do Aten! Bywaj zdrów Tymonie. Jeśli się uda, jak mam nadzieję, obaczmy się wkrótce.

Tymon.

Jeżeli się uda, jak ja sobie życzę, nie zobaczę cię więcej.

Alcibiades.

Wszak nic nie uczyniłem ci złego.

Tymon.

Tak, tyś dobrze mówił o mnie.

Alcibiades.

Czy i to masz za złe?

Tymon.

Doświadczenie codziennie uczy. — Odjēdź precz, i zabierz z sobą szczenięta.

Alcibiades.

My zawadzamy mu tylko.—W drogę!

(Alcibiades, Frynia i Tymandra odchodzą.)

Tymon.

Byćże może, iżby natura, niewdzięcznością urażona człowieka, głód uczuła! — O matko wspólna, ty, której łono niezmiernie i pierś urodzajna, rodzi i żywi wszystko, *(kopie w ziemi)* — ty, która z tēj samēj materyj, z jakiej nadęte dumne człowieka: człowiek, splądasz i czarnego kreta, i siłą żmiję, złotą ja-

szczurkę i jadowitego węża, i tyle poczwara pod łukiem niebieskim, daj temu, który nienawidzi wszystkie twe dzieci ludzkości, nędznych korzeni! Zniszcz wieczną płodność twych wnętrzności, ażeby więcej nie wydały niewdzięcznika. Spładzaj tygrysów tylko, smoków, wilków, niedźwiedzi i innych potworów, których powierzchnia twa, nie ukazała jeszcze nigdy upstrzonemu sklepieniu!—Zualazłem roślinkę, serdeczne za nią dzięki! — Wy-susz twoje żyły, winnice i niwy zorane pługiem, z których niewdzięczny człowiek wysysa słodki trunek i przysmaki oszołomiające zmysły! (*Wchodzi Apemantus*). Jeszcze jeden? Przekleństwo! przekleństwo!

Apemantus.

Wskazono mi tę drogę, mówiąc, że naśladujesz obyczaje moje i czyny.

Tymon.

Tak, bo nie masz psa, któregobym mógł naśladować. Przekląty!

Apemantus.

To wszystko jest tylko u ciebie udaniem, melancholią niegodną mężczyzny, bo źródłem jej zmiana fortuny. Co ma znaczyć to miejsce, łopata, suknia niewolnicza i to spojrzenie ponure? Przecież pochlebcy twój piją wino jeszcze, jedwabie noszą, na puchu się wysypiają, zapomniawszy zupełnie, że żył niegdyś jaki Tymon. Nie hańb tego lasu, odgrywając w nim rolę cenzora! Bądź ty teraz pochlebcą, staraj się podnieść w górę przez to, co cię zepchnęło. Zegnij kolano, i niechaj już sam oddech tego, któremu oko twoje służy, zdmuchnie ci czapkę z głowy; występki jego chwał. zwiąż je cnotami. Wszak się z tobą nie inaczej działo. Potakiwałeś niby szynkarz każdemu, kto ci się kłaniał: oszustom i wszelkim innym. Sprawiedliwie więc, iżbyś ty teraz został oszustem. Bo gdybyś miał dosyć złota, znówbyś im oddawał. A nie staraj się być mnie podobnym!

Tymon.

Gdybym się o to starał, wyrzekłbym się samego siebie.

Apemantus.

Wyrzekłeś się siebie, będąc tém, czém byłeś. Niegdyś szalony, dzisiaj niedorzeczny. Jakto, czy sądzisz, że to ostre powietrze, obecny twój natarczywy kamerdyner, ogrzeje ci koszulę? że te omszone drzewa od orłów starsze, pójdą za tobą, poskoczą na twe skinienie? że ten zimny strumień z lodowemi brzegi, zgotuje ci ranne śniadanie, wzmacniając po nocnym zmęczeniu? Zawezwij wszelkie istoty, które nagie i odarte wytrzymują mroźne wichry; zawezwij bezlistne drzewa, oddane na pastwę walce ży-

wiołów, one odpowiedzą tylko naturze; — lecz rozkaż by tobie schlebiali, a przekonasz się...

Tymon.

Że jesteś błaznem! precz!

Apemantus.

Ciebie więcej lubię teraz, aniżeli dawniej.

Tymon.

A ja więcej nienawidzę.

Apemantus.

Dlaczego?

Tymon.

Bo schlebiasz nędzy.

Apemantus.

Nic schlebiam. Mówię tylko żeś nędznikiem.

Tymon.

Lecz pocoś tu przyszedł?

Apemantus.

Ażeby cię gnębić.

Tymon.

Zawsze to urząd błazna lub nikczemnika! czy tak ci się podoba?

Apemantus.

Tak!

Tymon.

Nawet, że jesteś łotrem?

Apemantus.

Gdybyś był gorzkim i wystygłym jedynie dla ukarania własnej pychy, powiedziałbym: dobrze; lecz ty z musu jesteś takim; bo gdybyś nie był żebrakiem, zostałbyś dworskim pochlebcą. Dobrowolne ubóstwo przeżyje czyży zbytek, zwyciężki zdobywając wieniec: bo zbytek ciągle rosnąc, nigdy nie ustaje; ubóstwo wystarczy sobie. Najbogatszy, gdy niezadowolony, nie-spokojnym i biédnym się czuje, biédniejszym od najuboższego, z losem swym zgodnego. Powinienbyś umrzeć pragnąc, skoroś taki nędzny!

Tymon.

Lecz przecie nie dlatego, iż to ty mówisz, ty stokroć nędzniejszy. Tyś niewolnikiem, którego szczęście nigdy nie objęło

miłosném ramieniem. Ty się psem już urodziłeś. Gdybyś, tak jak ja od kolébki, zasmakował wszystkich słodyczy, jakich ten świat przelotny nie szczędzi tym, którzy swobodnie poddać się mogą wszelkim na ich skinięcie posłusznym powabom, byłbyś się cały zanurzył w rozpuście bez miary; młodość twoją stopiłbyś na schadzkach lubieżnych, nie posłuchawszy nigdy zimnego głosu rozumu. Tak, byłbyś się uganiał bez końca, za słodką zwierzyną. Lecz ja, dla którego świat cały jedną był biesiadą, który w usługach miałem więcej ust, języków, oczu i serc ludzkich, niż ich użyć mogłem, — (gdyż przyczepieni do mnie jak liście dębu, nagle jednym wichrem mroźnym zerwani z gałęzi), stoję dziś nagi, z piersią otwartą burzom i zawiei. Więc mnie, który zaznałem szczęśnej doli, znieść to trudno; nie tak jak tobie, który w cierpieniach zacząwszy życie, z upływem lat, bardziej je tylko zahartować mogłeś. Za cóż ty ludzi nienawidzić masz?—Czy pochlebiali ci kiedy? Cóż im dałeś? Chcesz przeklinać, to przeklinaj ojcu twemu, nędzarzowi, który w rozpaczylłączył się z jakąś żebraczką, ciebie spłodził, każąc ci od przodków dziedziczyć ubóstwo. Precz ztąd! Gdybyś się nie urodził ludzkości wyrodkiem, zostałbyś oszustem i pochlebcą.

Apemantus.

Jeszcze więc dumnym?

Tymon.

Tak: że nie jestem tobą.

Apemantus.

A ja, że nie byłem marnotrawnym.

Tymon.

A ja, że nim jeszcze jestem. I gdybym wszystkie skarby w tobie był umieścił, zezwoliłbym jednak, ażebyś się powiesił.— A gdyby życie całych Aten, w tém tu zwarte było (*zjada korzenie*) zjadłbym je.

Apemantus.

Popraw sobie ucztę. (*Podaje mu coś*).

Tymon.

Najprzód polepsz moje towarzystwo; odejdz!

Apemantus.

Polepszę moje, gdy odejdę.

Tymon.

Polepszoném nie będzie, chyba złataném;—w każdym razie zyczę tego.

Apemantus.

Co chcesz posłać do Aten?

Tymon.

Ciebie w huraganie! a chcesz, to powiedz tam, że mam złoto,—ot patrz.

Apemantus.

Nie przyda ci się tutaj na nic.

Tymon.

Przyda najwięcej, bo tu spoczywa, nie dając się nagiąć do złego.

Apemantus.

Gdzie sypiasz w nocy?

Tymon.

Pod tém, co jest nademną. Apemancie, gdzie jadasz we dnie?

Apemantus.

Tam, gdzie żołądek mój żywność znajdzie, a raczej tam gdzie jadam.

Tymon.

O, gdyby trucizna wiedziała, czego pragnę, i posłuchała mnie.

Apemantus.

Gdzieżbyś ją posłał?

Tymon.

Twoją ucztę zaprawić.

Apemantus.

Nigdyś nie znał pośredniej drogi ludzkości, lecz zawsze jęj ostateczności. Gdyś żył w pośród złota i pachnidel, szydono z twego wyszukanego wykwintu, w łachmanach nie znasz go wcale, i znów nienawidzą cię za to przeciwieństwo. Oto masz szyszkę, zjedz ją.

Tymon.

Nie jadam wcale tego, czego nienawidzę.

Apemantus.

A nienawidzisz szyszki?

Tymon.

Tak, bo do ciebie podobna.

Apemantus.

Gdybyś był dawniej więcej nienawidził intrygantów podobnych tym szyszkom, byłbyś dzisiaj więcej kochał siebie. Znałżeś bowiem kiedy marnotrawcę, którego by lubiono, gdy się wyzbył wszelkich środków?

Tymon.

A kogóż znałeś, którego by lubili bez tych środków?

Apemantus.

Siebie samego.

Tymon.

Rozumiem cię, raz w życiu miałeś tyle, iż mogłeś psa utrzymać.

Apemantus.

A cóż na całym świecie, najbardziej zbliżone do twych pochlebców?

Tymon.

Kobiety! Ale mężczyźni, o mężczyźni istnóm są pochlebstwem! Cóżbyś Apemancie uczynił, gdyby świat do ciebie należał?

Apemantus.

Oddałbym go dzikim zwierzętom, ażeby ludzi się pozbyć.

Tymon.

Jako, więc chiałabyś zginąć z innymi ludźmi, dlatego iżby zostać zwierzęciem, między zwierzętami?

Apemantus.

Tak, Tymonie!

Tymon.

Zwierzęce życzenie, niech ci je więc nieba spełnią! Gdybyś był lwem, lisby cię oszukał. Gdybyś był barancem, lisby cię pożarł. Gdybyś był lisem, a osioł cię przypadkiem zaskarżył, wpadłbyś w podejrzenia u lwa. Gdybyś był osłem, męczyłaby cię twoja głupota, a przecież zjadłby cię wilk na śniadanie. Gdybyś był wilkiem, męczyłaby się twoja żarłoczność, a przecież musiałbyś często życie narażać dla obiadu. Gdybyś był jednorożcem, własna pycha i wściekłość zgubiłaby cię, i stałbyś się łupem własnego gniewu. Gdybyś był niedźwiedziem, zabiłby cię koń; gdybyś był koniem, stałbyś się łupem lamparta; a jako lampart byłbyś bratem lwa, i wtedy twa skóra plamista, spryskiłaby się przeciw życiu. Byłbyś bezpiecznym tylko w ucieczce, a twoją obroną byłaby nieobecność. Jakiemże zwierzęciem, któ-

reby nie było poddaném drugiemu zwierzęciu, mógłżeś być ty? A jakim zwierzęciem już jesteś, gdy nie poznajesz ilebyś na przemianie stracił?

Apemantus.

Gdyby mi się kiedy mowa twa podobać mogła, to chyba teraz. Rzeczpospolita Ateńska, stała się lasem zwierząt.

Tymon.

A jakże się osioł przedarł przez mury, gdy ty jesteś za miastem?

Apemantus.

Widzę nadchodzących: poetę i malarza. Niechaj cię ściga zaraza towarzyska, lecz ja bojąc się zarazy, odchodzę. A gdy kiedy nie będę wiedział, co z sobą począc, to cię znów odwiedzę.

Tymon.

Jeżeli prócz ciebie, nie ma już na świecie żadnej żyjącej istoty, to mi będziesz pożądanym; wolałbym wszakże być psem żebraka, aniżeli Apemantem.

Apemantus.

Jesteś głową błaznów całego świata.

Tymon.

Chciałbym iżbyś był dosyć czystym, ażeby mózgi na ciebie napluć.

Apemantus.

Nienawistny! Jesteś zanadto złym, ażebym cię przeklinał.

Tymon.

Wobec ciebie, każdy łotr jest szlachetny.

Apemantus.

Nie ma obrzydliwszego jadu, od twojej mowy.

Tymon.

Tak, gdy o tobie mówię, wybitłbym się, gdybym przez to ręk nie powalał.

Apemantus.

Chciałbym aby od samej mowy mojej zgniły.

Tymon.

Precz przebrzydła poczwaro! Wściekłość maie porywa, że żyjesz. W głowie mi się kręci, gdy cię widzę.

Apemantus.

Dziękuję zwierzę!

Tymon.

Precz! Żal mi na ciebie cisnąć kamieniem! (*rzuca kamieniem*).

Apemantus.

Zwierzę!

Tymon.

Niewolniku!

Apemantus.

Krecie!

Tymon.

Łotrzel! (*Apemantus udaje, że chce odejść*). Brzydzę się tą przewrotną ziemią! A pożądam tylko niezbędnego pokarmu, co rośnie na jej powierzchni. Dlatego Tymonie wykop sobie grób, leż tam, gdzie morska piana zmywać będzie ciągle kamienie. Ułóż twój epitaf: że śmierć moja drwi sobie z życia innych. (*oglądając złoto*). O ty słodki królobójco! drogi metalu niezgody między synem a ojcem! połyskujący kazieliu czystości małżeńskiego łoża! dzielny Marsie, gachu zawsze młody, zawsze świeży i zwodniczy! ty zawsze kochany, którego blask czerwony, stąpia świętą śnieżność czystego łona Diany! Ty widoczne bóstwo, spajające ściśle niepodobieństwa, zmuszając je do całusów, ty, który mówisz w każdym języku dla każdego celu! o ty kamieniu serc probierczy, pomyśl, że człowiek, twój niewolnik, zrywa pęta. Zażegnaj więc potęgą swoją, między ludźmi śmiertelne niesnaski, iżby przy zwierzętach została się moc nad światem.

Apemantus.

Spełni się twe życzenie, lecz niech naprzód ja umrę. Teraz powiem, że masz złoto, i wnet cię tłum otoczy.

Tymon.

Tłum?

Apemantus.

Tak.

Tymon.

Odejdź.

Apemantus.

Ukochaj swoją nędzę i żyj.

Tymon.

Żyj długo w ten sposób, i umróż tak samo. Skwitowaliśmy się. (*Apemantus odchodzi*). Zuów ludzkie twarze? Jedz Tymonie, i nienawidź ich (*wchodzi zbójcy*).

Pierwszy zbójca.

Zkądby on miał pieniądze, chyba jaką resztkę, jakiś szczątek uratowany. Wszak brak pieniędzy i zdrada przyjaciół, sprawiły go w melancholię.

Drugi zbójca.

Według pogłoski, znalazł on wielki skarb.

Trzeci zbójca.

A więc nuże, jeżeli o złoto nie dba, to nam je zaraz odda; lecz jeżeli go czujnie pilnuje, co poczniemy?

Drugi zbójca.

Zapewne! gdyż pewnie skarb schował.

Pierwszy zbójca.

To on!

Inni.

Gdzie?

Drugi zbójca.

Według opisu, to on sam.

Drugi zbójca.

Ja go znam.

Wszyscy.

Dzień dobry Tymonie!

Tymon.

Co, złodzieje?

Zbójcy.

Wojownicy, nie złodzieje!

Tymon.

I jedno i drugie, a nadto synowie kobiety.

Wszyscy.

Wcale nie jesteśmy złodziejami, tylko ludźmi w wielkiej potrzebie.

Tymon.

Waszą największą potrzebą, jest brak pokarmu. Lecz dlaczego wam go brak? W ziemi są korzenie, daleko wkoło wytryska sto źródeł, dąb daje żołądzie, krzaki różowe jagody, natura ta dobra gospodyni, rozpościera na każdym krzaczku wyborną wieczercę. Czegóż więc chcecie?

Pierwszy zbójca.

Nie możemy żyć ziołami, jagodami i wodą, jak dzikie zwierzęta, ptak lub ryba.

Tymon.

Nie możecie żyć ze zwierząt samych, ryb i ptaków? ludzi zjadać musicie? Lecz ja wam dziękuję, że będąc otwartymi złodziejami, nie przybieracie świętych pozorów. Bo nieskończonym jest łupieństwo prawne, każdego stanu w społeczeństwie. Bierzcie łotry to złoto; idźcie, wysysajcie słodką krew winogron, aż krew wasza rozpalona ogniem gorączki, oszczędzi wam szubienic; nie dowierzajcie lekarzowi, jego antydoty trucizną są; on zabija gorzej jak wy: rabuje złoto razem z życiem; spełniajcie zbrodnie, to wasze powołanie, wasz cech. Lecz wiedźcie, iż wszystko i wszyscy rabują: słońce jest rabusiem, obdiera siłą przyciągania szeroki Ocean; arcy rabusiem jest księżyc, co odkrada blade swe światło słońcu; rabusiem jest morze, które-krada płynne fale, stapiają księżyc w słone łyzy. I ziemia jest rabusiem, ciągnącym soki z szlamu, odkradzionego wszelkim odpadom. Wszystko jest rabusiem; prawo, co dla was biczem i jarmem rabuje także zuchwale i bezkarnie. Precz, nienawidźcie się i rabujcie nawzajem! Oto więcej jeszcze złota! Podrzynajcie gardła! wszyscy, których spotkacie, to rabusie! Dalej do Aten, wyłamcie sklepy; wszystko co ukradniecie, ukradniecie rabusiom; nie przestańcie kraść dlatego, zem wam to złoto darował; niechaj was bądź co bądź w przepaść wtrąci. Amen!

(Tymon chowa się do groty).

Trzeci zbójca.

Zachwalając moje rzemiosło, prawie mi go zbrzydził.

Pierwszy zbójca.

To nie z życzliwości dla naszego zawodu, rad tych nam udzielił, ale przez złość do ludzkiego plemienia.

Drugi zbójca.

Co się mnie tyczy, uwierzę mu jako wrogowi, i porzucę moje rzemiosło.

Pierwszy zbójca.

Dostałmy się tylko bezpiecznie do Aten, przecież zawsze czas będzie na to, aby zostać uczciwym. *(odchodzi, wchodzi Flawiusz).*

Flawiusz.

O bogowie! czyż ów w haniebnej gędzy człek, to mój pan? tak schudzony i w łachmanach? O pomniku godny pamięci, źle odwdzięczonych dobrodziejstw! Jakież przeciwieństwo dostojności w przepychu, zrodził rozpaczliwy niedostatek! Cóż może

być nigodziwszego na świecie, jak haniebni przyjaciele, którzy szlachetny umysł, w taką bezden hańby wpędzili? Jakże dobrze do naszych czasów nadaje się przykazanie: iż kochać trzeba swoich nieprzyjaciół! Czyż nie lepiej kochać tego, który mnie nienawidzi, aniżeli tego, który miłość udając, złe knuje!—Dostrzegł mnie, niech widzi moją boleść głęboką, ja zaś, jako memu panu, do śmierci służyć będę. Drogi panie!

(Tymon wychodzi z grotty).

Tymon.

Kto jesteś? Precz!

Flawiusz.

Zapomniałeś mnie panie?

Tymon.

Po co mnie pytasz? zapomniałem ludzkość całą, więc jeśliś człowiekiem, zapomniałem i ciebie.

Flawiusz.

Jestem twoim wiernym, przywiązanym sługą.

Tymon.

To cię nie znam, gdyż wiernego nie było nigdy przy mnie; miałem służącymi oszustów, którzy posługiwali łotrom.

Flawiusz.

Bogowie zaświadcze, iż nigdy większej boleści nie doznał sługa z upadku swego pana, jak ja z mojego.

Tymon.

Cóżto? płaczesz? zbliż się! teraz cię Kocham! bo jesteś kobietą i wyrzekasz się twardych ludzi, których oka nie zwilży prócz śmiechu lub rozpusty. Litość śpi; o wieku który płaczesz ze śmiechu nie z rozpacz!

Flawiusz.

Błagam cię dobry panie, przypomnij mi sobie. Uznaj mój szczerzy smutek, i dopóki to złoto wystarczy *(pokazuje mu pieniądze)* niechaj rządzą u ciebie.

Tymon.

Jakto, miałem sługę tak prawego, tak wiernego a dziś tak niepokieszonego? Prawie się wzruszonym czuję. Pozwól mi spojrzeć w twe oblicze. A przecież człowieka tego, zrodziła kobieta! Przebaczcie mi wiecznie mądrzy bogowie, zbyt zuchwale i ogólne przekleństwa. Zeznaję, *jeden* człowiek prawy jest—

słuchajcie dobrze, jeden tylko, nie więcej, a tym jest mój intendent. O jakżebym chętnie nienawidzić chciał całą ludzkość, tyś się wykupił; lecz prócz ciebie, niechaj dosięgnie wszystkich wznowione me przekleństwo! Zdaje mi się, żeś ty więcej uczciwy niż roztropny, bo gdybyś mnie był zdradził, tém łatwiej znalazłbyś inną służbę; wszak tyłu dostaje się do drugiego pana, przechodząc po zwłokach pierwszego. Lecz powiedz mi prawdę, gdyż wątpię będę mimo méj pewności: czy ta czułość twoja nie jest udaną lichwiarsko, jak owego bogacza, który rozdaje prezenta w nadziei, że odbierze dwadzieścia za jeden?

Flawiusz.

Nie, drogi panie! Niewiara i podejrzliwość zamieszkały, niestety zbyt późno w twój piersi; wpośród uczt twoich, bać się mogłeś zdrady; lecz podejrzliwość wówczas się zjawia, gdy szczęście minęło. Klnę się na niebiosa, że co czynię, czynię z czystej miłości i z uwielbienia dla twój duszy, szlachetny panie! Będę się starał o twoją żywność; i wierzaj mi, czcigodny panie, najwyższego szczęścia, które mi teraz i w przyszłości uśmiechnąć się może, nie oddałbym za to życzenie: iżbyś był w możności, własném szczęściem i muie wynagrodzić.

Tymon.

Oto życzenie twe spełnione! Ty! jedyny pocziwce, bierz! Bogowie w nędzy mojej, posyłają ci ten skarb. Bądź szczęśliwym i bogatym, jednak z tym warunkiem, że wyprowadzisz się zdala od ludzi, że wszystkich znieńwudzisz i przeklniesz; nikomu nie okażesz litości, że zanimbyś wsparł żebraka, pozwolisz raczej, iżby ciało jego wycieńczone głodem, odpadło od kości. Daj psom to, czego odmówisz ludziom. Niechaj ich więzienia pochłoną, niechaj ich długi przygniotą! Niechaj wyschną jak lasy, nawiedzone mroźnym wichrem, i niechaj w krwi ich fałszywej, gorzeje jad gorączki! A teraz bywaj zdrow, i bądź szczęśliwy!

Flawiusz.

Pozwól mi zostać dla pociechy Waszój, drogi panie!

Tymon.

Jeżeli niecierpisz przekleństw, to nie zostawaj, ale uciekaj, pókiś wolny. Nie patrz nigdy na ludzi, i niechaj ja nigdy cię nie widzę! (*odchodzą w różne strony*).

AKT V.

SCENA I.

Przed grota Tymona.

(Wychodzą poeta i malarz, Tymon w głębi).

Malarz.

Według tego jak mi opisano miejscowość, mieszkanie jego musi być ztąd niedaleko.

Poeta.

Co o nim sądzić? czy się sprawdzi pogłoska, że ma tak wiele złota!

Malarz.

Niezawodnie, mówił Alcybiades, że Frynia i Tymandra od niego dostały; wzbogacił téż biędnych, wędrownych żołnierzy, a mówią nadto, że swemu intendentowi wielkie podarował sumy.

Poeta.

Więc bankructwo, było tylko próbą jego przyjaciół?

Malarz.

Niczém więcéj, ujrzycie go znowu wyniosłym jak drzewo palmowe w Atenach, kwitnące aż do szczytu. Nie będzie téż od rzeczy, gdy mu złożymy nasz hołd, w pozorném jego nieszczęściu. Wyda się to w nas zacnością, i zapewnie napelni nasz worek, o co nam przecie chodzi, jeżeli prawdziwą pogłoska jest o jego skarbach.

Poeta.

Cóżeście mu teraz przynieśli?

Malarz.

Teraz nic prócz mojej osoby, ale mu wspaniałe malowidło przyrzeknę.

Poeta.

Posłużę mu tém samém, opowiedziawszy szkic przyszłego dzieła, napisanego dlań umyślnie.

Malarz.

Wybornie! Obietnica, to obyczaj wieku, otwiera ona oczy oczekiwaniu,—tém głupsze spełnienie, gdy się zdarzy. Atoli wy-

jąwszy prostych głupich ludzi, dotrzymanie obietnic nie w modzie. Obiecywać to rzecz dworska, i dobrego tonu, — dotrzymywać: zwie się pewnego rodzaju testamentem, świadczącym o niebezpiecznej chorobie rozumu u tego, który dotrzymuje.

Tymon (na stronie).

Znakomity malarzu, ty niepotrafisz drugiego tak odportować, jak samego siebie.

Malarz.

Namyślam się, coby tu za kompozycją wymyślić dla niego? Chyba powiem, że to będzie przedstawiać jego samego, satyrę przeciw zbytowski, odsłonięcie nieograniczonego pochlebstwa, niecodzającego młodości i bogactwa.

Tymon (na stronie).

Więc jeszcze trzeba, iżbyś odgrywał rolę oszusta we własnym twém dziele? Chcesz własne występki chłostać w innych? Dobrze, ja mam złoto dla ciebie.

Poeta.

Chodźmy, wyszukajmy go, nie zaniedbujmy naszej fortuny przez spóźnienie.

Malarz.

Bardzo słusznie. Na jasnym dniu zbadaj czego ci brak, zanim noc, zagrzebie wszystko w ciemnym swém łonie. Chodźmy.

Tymon (na stronie).

Pójdę naprzeciw was. — O jakimże bogiem jest to złoto, gdy mi służą w gorszej świątyni od chléwu prosięcia. Złoto! ty ekwipujesz okręta, i przerzynasz pianę morza, ty sprawiasz, że niewolnikowi ze czią, hołd składają. Na kolana przed tobą, ale twoim świętym pachołkom za nagrodę ciernie, które tylko ty splatać umiesz! Czas, ażeby do nich przystąpił.

(*Postępuje naprzód*).

Poeta.

Pozdrowienie zacny Tymonie!

Malarz.

Niegdyś nasz szlachetny władzco!

Tymon.

Spodziwałemże się dożyć, aby ujrzeć dwóch prawych?

Poeta.

Panie! doświadczywszy niejednokrotnie twój hojności, i do-wiedziawszy się o twém schronieniu, i o zdradzie twoich przy-

jaciół, których natury niewdzięczne... o! dusze nikczemne! niebo nie dosyć ma na nich kary!.. Jakto? ciebie?, którego wspaniałość gwiazdom podobna, udzielała im życie i żywność! Wściekłość mnie porywa, i nie mam dość silnych wyrażań, ażeby przyzdiać olbrzymość ich niewdzięczności.

Tymon.

Pozostaw ją nagą, a ludzie lepiej się jój przypatrzą. Wy poczciwi, samém postępowaniem, odsłaniacie tém wyraźniej złość tamtych.

Malarz.

On i ja, pławiliśmy się w orzézwiającym deszczu twych dobrodziejstw.

Tymon.

Tak, wyście poczciwi.

Malarz.

Przychodzimy ofiarować ci nasze usługi.

Tymon.

Wy zacni — ach czémże wam odwdzięczę? Potraficie jeść korzenie i pić wodę?

Obaj.

Co tylko potrafimy, uczynimy na twoje usługi.

Tymon.

Wy zacni, dowiedzieliście się, że mam złoto — prawda? przyznajcie, wszak jesteście uczciwi?

Malarz.

Mówią coś o tém drogi panie, lecz nie dlatego przyszedłem tutaj, ani téż mój przyjaciel.

Tymon.

Wy poczciwcy — ty malujesz obrazy. Zaprawdę. Tyś najlepszy z całych Aten. Malujesz z życia.

Malarz.

Tak drogi panie, tak.

Tymon.

Tak powiedziałem. (do poety). A twoja poezya! czyż wiérz twój nie płynie tak gładko i słodko, że sztuka twa znów staje się naturą! — Przy tém wszystkiém jednak, szanowni moi przyjaciele, powiem wam otwarcie — popełniacie jeden bład — prawda nie zbyt on straszny, i nie żądam téż wcale, abyście się poprawili.

Obaj.

Racz go nam powiedzieć.

Tymon.

Za złe mi weźmiecie.

Obaj.

Wdzięcznie przyjmiemy.

Tymon.

Rzeczywiście?

Obaj.

Nie wątp, szlachetny panie.

Tymon.

Každy z was zawierzył łotrowi, który was bardzo oszukuje.

Obaj.

Być nie może!

Tymon.

Tak—wy patrzycie na to jak on kłamię; jakim jest obłudnikiem; znacie jego sztuczki niezgrabne, a przecież go kochacie i żywicie, i nosicie w sercu; a przecież zaręczam wam, że to łotr skończony.

Malarz.

Nie znam takiego panie.

Poeta.

Ani ja.

Tymon.

Słuchajcie—ja was lubię, ja wam dam złota, tylko wypędźcie tych łotrów z waszego pobliza. Powieście ich, przebijcie, rzućcie ich w kloakę, zniszczcie ich jak się da, i przyjdźcie znów do mnie, a ja wam znów dam pieniędzy.

Obaj.

Daj nam ich poznać, szanowny panie.

Tymon.

Oto są. Ty tutaj—i ty tam, ale gdy stoicie razem, dwóch was jest. Niech każdy znów stanie osobno, sam, zawsze mu arcy-łotr towarzyszyć będzie. (*Do malarza*). Jeżeli tam gdzie stoisz, nie chcesz iżby dwóch łotrów stało, nie zbliżaj się do niego. (*Do poety*). A ty, jeśli nie chcesz przebywać tam, gdzie

się drugi łotr znajduje, uciekaj od niego. Precz, tu macie złoto, przyśliście po nie, niewolnicy. Za waszą robotę bierzcie zapłatę, precz! Tyś alchmistą, zrób z tego złoto — precz podłe psy!

(Pędzi ich przed sobą).

SCENA II.

Przed grotą Tymona.

Wychodzi Flawiusz, z dwoma senatorami.

Flawiusz.

Nadarmo chcielibyście się rozmówić z Tymonem, gdyż tak jest zadumany, iż ze wszystkich którzy ludzką twarz mają, on tylko sam, w dobrych jest stosunkach ze samym sobą.

Pierwszy senator.

Prowadź nas do jego groty. Jesteśmy wysłańcami i przyrzekliśmy Ateńczykom, że się z nim rozmówimy.

Drugi senator.

W okolicznościach podobnych, ludzie nie zawsze są tymi samymi. Czas i zgrzyoty tak go złamały; lecz czas ofiarując mu łaskawszą ręką szczęście przeszłych dni, wskrzesi w nim dawnego męża. Prowadź nas do niego, a potem niech się dzieje co chce.

Flawiusz.

Oto grotą. Pokój i szczęście chacie téj! Tymonie! Panie! racz porozmawiać z przyjaciołmi. Ateńczycy ślą ci powitanie przez godnych senatorów; o! szlachetny Tymonie, pomów z nimi!

(Tymon wychodzi).

Tymon.

Ty dobroczynne słońce, spal się! *(Do senatorów).* Mówcie i powieście się. Za każde słowo prawdy, niech wam krosta język przetnie; a za każde fałszywe, niech go rak zeżre od korzenia.

Pierwszy.

Godny Tymonie..

Tymon.

Tylko takich godny jak wy, tak jak wy Tymona.

Drugi.

Tymonie, posyła ci pozdrowienie senat ateński.

Tymon.

Dziękuję mu, i chciałbym wywzajemnić mu się postaniem zarazy, gdybym ją mógł na ten cel pochwycić.

Drugi.

O! zapomnij, czegośmy sami z twój żałowali przyczyny. Senatorowie jednozgodną miłością, proszą cię byś do Aten powrócił, ofiarując ci wysokie godności, czekające tylko na to, abyś się nimi przyzdobił.

Pierwszy.

I przyznają się, iż za wielką była niewdzięczność ich względem ciebie. Lud nawet, który rzadko odwołuje swe wyroki, uczuł potrzebę pomocy Tymona, bez niej uznając własny upadek. Dlatego śle nas, z wyrazem swego żalu i z nagrodą, przewyższającą miarę wyrządzonej obrazy. Tak, lud przyrzeka ci tyle nazbieranych sum miłości i złota, że krzywdy się zatrze, a przywiązanie jego wyryje się w tobie, wieczystém piętnem.

Tymon.

Jakże mnie czarujecie, jak niespodziewanie wzruszacie, prawie łzę wydobywając z oka. Użyczcie mi serca błazna, oka kobiety, ażebym się rozbeczał przy waszych pociechach, senatorowie.

Drugi.

Racz więc powrócić między nas. Odbierz napowrót władzę nad Atenami naszymi i twojemi, a dzięki cię wynadgrodzę, najzupelniejsza potęga uwieńczy. Imię twoje w sławie rozkwitnie, a my odpędzimy wkrótce zuchwałę napady Alcybiadesa, który niby dzik wściekły, zakłóca pokój ojczyzny.

Pierwszy.

I wieżycom Aten, mieczem swoim grozi.

Drugi.

Dlatego Tymonie...

Tymon.

Tak, senatorowie, chcę tego. Tak, chcę! Jeżeli Alcybiades zabije moich współ-obywateli, powiedzcie mu od Tymona, że się Tymon tém nie zmartwi; lecz jeżeli wyda piękne Ateny na łup, jeżeli pobożnych starców targać będzie za brody, a nasze święte dziewice, wystawi na hańbę zwierzęco-dzikiego zuchwałego żołnierza, to powiedzcie mu, tak, powiedzcie mu, iż Tymon

rzekł: „przez litość dla naszej młodzieży i starców nie mogę się powstrzymać, iżby ci nie powiedzieć, że wcale o nich nie dbam. Niech jeszcze gorzej postąpi! niech się nie zatrzymuje wrogi nóż jego, dopóki wy gardła macie!” Co się mnie tyczy, wołę najgorszy nóż w nierządnym obozie, aniżeli najczciodsze gardelko z Aten. Zostawiam was przeto pod opieką sprawiedliwych bogów, tak jak się zostawia złodziei pod opieką kluczników.

Flawiusz.

Odéjdźcie, to nadarmo.

Tymon.

Właśnie zajęty byłem napisem moim nagrobkowym; ujrzycie go jutro.—Zaczynam przychodzić do siebie, z téj długiej choroby życia i zdrowia. Odnajduję we wszystkiém nicość. Odéjdźcie i życie dalej; niech Alcibiades będzie wam męczarnią, w jemu, i niech to długo trwa.

Pierwszy senator.

Mówimy nadarmo.

Tymon.

Lecz ja kocham moją ojczyznę, i nie cieszę się z jój ogólne-go rozbicia, jak wieść o mnie niesie.

Pierwszy senator.

Dobrze powiedziane.

Tymon.

Polećcie mnie, drogim moim współziomkom.

Pierwszy senator.

Oto słowa, godne przejść przez usta.

Drugi senator.

Wchodzą one w uszy nasze, tak jak zwycięzca przez bramę, brzmiającą okrzykami.

Tymon.

Polećcie mnie ziomkom, i powiédźcie, ażeby zmniejszyć ich zgryzoty, obawę wroga, straty i boleści, cierpienia miłosne i inne smutki, które zatapiają kruchy okręt natury, w niepewnej podróży życia,—iż chcą im dobrze uczynić, chcą ich nauczyć, w jaki sposób uprzedzić mają wściekłość Alcibiadesa.

Pierwszy senator.

To mi się podoba, Tymon pewno powróci z nami.

Tymon.

Rośnie drzewo, tu blisko mojej grotty, które dla własnego użytku ściąć muszę. Powiedz moim przyjaciółom, wszystkim mieszkańcom Aten, panom i ludowi, najwyższym i najniższym, że gdy który zakończy chce umartwienia, niech tutaj spieszy, i zanim siekięra drzewo moje zetnie, niech się na niem powiesi. Proszę was, spełńcie polecenie.

Flawiusz.

Nie przeszkadzajcie mu więcéj, zawsze go takim znajdziecie.

Tymon.

Nie wracajcie tu więcéj, ale oświadcźcie Atenom, że Tymon zbudował tu wieczne swe mieszkanie, na brzegu słonego strumienia, który kiedyś zakryje go burzliwą swą falą i szumiącą pianą; wtedy przychodźcie w nagrobku moim szukać wyroczni. Wy usta, skończcie gorzkie słowa! Poprawę złęgo, zarazie powierzam! Ludzkim dziełem, niech tylko groby będą, a śmierć, ich nagrodą! Słońce schowaj twe promienie! Tymon już skończył!

(Odchodzi).

Piérwszy senator.

Nienawiść jego, nieodłączna od całej istoty.

Drugi senator.

Z nim zgasła nasza nadzieja. Powróćmy obmyśléć, jaki nam jeszcze ratunek zostaje, w tak wielkiej potrzebie.

Piérwszy senator.

Spieszmy! *(Odchodzą).*

SCENA III.

W Atenach.

(Dwóch senatorów i posłaniec).

Piérwszy senator.

Czyś dobrze zbadał, czy tak liczne szeregi jego, jak donosisz?

Posłaniec.

To nic jeszcze, gdyż szybkość ruchów jego wskazuje, że się tu wnet zjawi.

Drugi senator.

Zgubieni jesteśmy, jeżeli Tymon nie przybędzie.

Posłaniec.

Spotkałem się w drodze z posłańcem, jednym z dawnych moich przyjaciół, jakkolwiek z innego stronnictwa. Skłonieni dawną zażyłością, rozmawialiśmy jak przyjaciele. Szedł on od Aleybiadesa do groty Tymona, niosąc mu listy bardzo go proszące, iżby szedł wspólnie na wojnę na wasze miasto, gdyż przecież po części dlań, wojna ta zaczęta.

(Senatorowie wracają od Tymona).

Pierwszy senator.

Oto bracia nasi wracają.

Trzeci senator.

Ani słowa o Tymonie, nie spodziewajcie się niczego po nim. Trąby nieprzyjaciela grzmia, pochód roznosi kurz w powietrzu. Dalej, ruszajcie się. Obawiam się, iżbyśmy nie wpadli w sidła nieprzyjaciół. *(Odchodzi).*

SCENA IV.

Przed grota Tymona, widoczny kamień grobowy.

Żołnierz.

Według opisu musi być to miejsce. Hej! kto tam? żadnej odpowiedzi? cóż to? ha! Tymon umarł! odpłacił dług naturze! lecz czy kamień ten zwierzę zbudowało?, ani śladu człowieka. Tak! umarł pewnie, a to jego grób! Co na kamieniu wyryte, przeczytać nie mogę, lecz odcisnę znaki te na wosku; wódz zna wszelkie pismo, stary to badacz. chociaż młody wiekiem. Teraz grozi on Atenom, dumnemu miastu, którego upadek najwyższym jego celem. *(Odchodzi).*

SCENA V.

Przed murami Aten.

(Fanfary. Aleybiades na czele wojska).

Aleybiades.

Zatrąbcie w uszy, temu teńhórzliwemu i rozpustnemu miastu zbliżanie się moje. *(Trąby. Senatorowie wychodzą na mury). Do-*

tychczas zapełnialiście dowoli wasz czas nadużyciem władzy, biorąc wolę waszą za wskazówkę praw. Ja i inni spaliśmy w cieniu waszych rządów, wędrując z założonemi rękami i wdychając boleśnie nadarmo. Lecz nadszedł wreszcie czas, że ciężarem obciążone zwierzę, silnym poczuć się może i zawołać: już dośyć! Zemsta wypocznie sobie teraz wygodnie na waszych miękkich siedzeniach, a niecznośna zuchwałość, utraci oddech z przeżalenia popłochu.

Pierwszy senator.

O szlachetny młodzieńcze! gdy pierwsza twoja obraza za-
mylem zaledwie była, i zanim ty się miałeś, a my powód oba-
wy, już posłaliśmy wtedy dla ukojenia twój wściekłości, i na-
prawy niewdzięczności naszej, dowody przywiązania obfite.

Drugi senator.

Także zaprosiliśmy w nasze miasto zmienionego dla nas
Tymona, błagając go pokornie, obiecując miłosnie. Nie wszyscy
zawinili, niechaj więc nie wszystkich, tenże sam cios uderza.

Pierwszy senator.

Oto mury te, wszak nie były zbudowane ręką tych, którzy
cię obrazili, ani też tak wielką jest obraza, iżby świątynie i wie-
życe, spaść miały z winy kilku.

Drugi senator.

Ci też, którzy przyczyną byli, iżżeś nas porzucił, już nie
żyją; wstyd za wielkość ich błędu, rozdarł im serce. Więc wéjdz,
szlachetny wodzu, w miasto nasze z rozwiniętymi sztandary. Je-
żeli uczucie twój zemsty łaknie téj potrawy, przed którą natura
się wzdryga, to zdziesiątkuj nas losem, i niechaj nieszczęśni, prze-
znaczeni losem kości (1), zginą.

Pierwszy senator.

Wszyscy nie zawinili. Czyż to sprawiedliwie, iżby za
umarłych, mścić się na żyjących? Grzécchu nie dziedziczy się, jak
ziemi i majątku. Dlatego drogi współziomku, wojska twoje
wprowadź, lecz gniew zostaw za progiem. Uszanuj kolébkę
twoją, Ateny, i tę krew wszystką, którąbys w uniesieniu przelał
wraz z krwią winnych. Zbliź się tak jak owczarz do swój trzo-
dy, oddziel chorych, lecz nie zadławiaj wszystkich!

Drugi senator.

To czego żądasz, zdobędziesz uśmiechem raczej aniżeli
mieczem.

(1) Gra w kostki.

